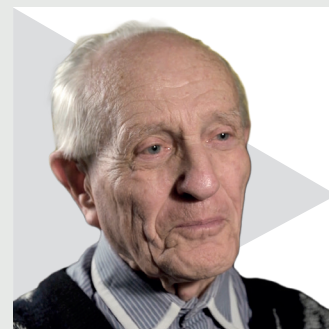




Mieczysław Chojnacki

część II z VII

Sygnatura notacji: **N0867**
Data urodzenia: **26.03.1924 r.**
Data nagrania: **11.02.2014 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**
Czas nagrania: **cz. I: 49 min, cz. II: 53 min, cz. III: 39, cz. IV: 69, cz. V: 86,**
Format nagrania: **video** **cz. VI: 55, cz. VII: 68**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Mieczysław Chojnacki: Siedziała taka, powiedzmy, rodzina przez pewien czas, dwóch braci Dodackich. I tak się troszkę kolegował ze mną, kolegował, może opiekował ten starszy Dodacki, Andrzej Dodacki, ale tam siedziała i ich matka. To byli ludzie 40-letni, a zatem matka mogła mieć, coś mówili, 70 lat, na oddziale kobiecym. To chyba dosyć ciekawe. Ta pani brała udział w ucieczce Piłsudskiego z Pawiaka. To jedna była z tych. I to był ciekawy ród, bo ci Dodaccy to pra, pra, pra jakimś wujkiem czy strykiem był generał Ignacy Prądzyński, znany z powstania listopadowego sztabowiec i zdolny sztabowiec, który wygrał bitwę pod Iganiami. I to w sposób taki dosyć kompromitujący, bo jedne oddziały wcisnęli nasi na drugie, na tabory, na artylerię, a potem ich rozstrzeliwali na szosie, tam nasza artyleria, więc to był manewr taki, można powiedzieć, jak to może z przesadą, napoleoński, który on stosował, że gdzieś ich wepchnął na rzekę, wrogów, a potem ich wypchał na tabory, cofających się innych z bitwy. Zamieszanie wywołał i właśnie pod Iganiami było takie zamieszanie wywołane przez Prądzyńskiego. Więc to byli krewni, krewni przyznawali się do tego. Ci Dodaccy. To taka była jeszcze jedna i właśnie ten Maciek Jeleń, parę lat starszy ode mnie, kadet lwowski, który z tym swoim dowódcą kompanii siedział, tylko, przepraszam, ale ten dowódca kompanii to był taki trochę mendowaty. Może tego nawet nie... Nie powiem nazwiska... Wyrabiał chleb ze śliną, to ten chleb taki był ciemniejszy jak moja skóra i pięknie rzeźbił takie figurki. I to była figurka, kto powie? Stalina. Jak to zobaczyli, ci dozorczy, klawisze, to ktoś zobaczył, to mu zabrał to, ale powiedzieli, żeby coś chyba, bo następną zaczął robić i w ten sposób tak jakoś starał się załagodzić sprawę, chociaż miał wyrok śmierci. Ciekawe, że ten Woźniacki, ten chłopiec, rolnik i Maciek Jeleń, ten kadet lwowski, to jakoś do niego nie podchodzili. Musiał coś on nabroić jednak tam. Nie wiem, nie jestem pewien. To też taka ciekawostka. I rodziny Dodackich. A tak to siedziała taka szara wiara, partyzantka, siedział Ukrainiec jeden, Gorgoń się nazywał, też go rozstrzelali. Bo stąd się dowiedziałem, że mam

takie spisy tych rozstrzelanych, trzech tysięcy prawie ludzi i on tam figuruje, ten Gorgoń. On był w moim wieku, mojej budowy. Czasem z tym Ukraińcem rozmawiałem, dobrze mówił po polsku.

Tomasz Sudół: A jak wyglądał taki...

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Jak wyglądał taki dzień na Mokotowie w tej celi?

Mieczysław Chojnacki: Właśnie, jak wyglądał. Więc była pobudka. I ta pobudka to był odpowiedni sygnał na korytarzu. Taki elektryczny, coś w rodzaju chyba jak szkolny. Wtedy o godzinie chyba 6:00 to było. Wstawaliśmy i jak na betonie się spało jeszcze przed tym, to trzeba było te sienniki zbierać, te sienniki to był barfóg, to się chustkami tu zawiązywało, bo tak się kurzyło, że wyglądało w celi tak, jakby mgła była. I to nie była sieczka. To było zmielone coś przez pokolenia takich jak my. Potem te sienniki układało się w rogu tej salki, bliżej drzwi wyjściowych i tam była taka przestrzeń półmetrowa, że tak można było wejść z dwóch stron. I to była kaplica. Tam chodzili ci, co chciał pacierz zmówić. No właśnie szczególnie tacy pobożni to byli, powiedzmy, z wilniuków, Szendzielarz i pułkownik Olechnowski, a ze strony tych, to co dzień tam chodzili, no i inni więźniowie też, i na przykład Ciepłiński. Ciepłiński bardzo często tam do tej kaplicy chodził. I tam przebywali, nikt ich stamtąd nie wypraszał. Jeśli chodzi o mnie, to nie wiem, czy tam byłem ze dwa razy przez pół roku. Nie mogłem się po prostu modlić. Trudno było się przymuszać do czegoś. Mnie zajmowało coś innego. Nie wiem, jakieś rozmaite wspomnienia, coś takiego. Czytałem książkę, też taką dosyć o tematyce więziennej, grałem w szachy, rozmawiałem z ludźmi. Był taki biedny człowiek, nazywał się Mierzwiński, ale zapomniałem nazwisko. To był celnik na granicy Wolnego Miasta Gdańska przed wojną. On mieszkał w Tczewie. I ten Mierzwiński dobrze grywał w szachy, i wszystkich ogrywał. Mnie też ogrywał w szachy. On jakoś zaufał mi i zaczął opowiadać o swojej sprawie. Dostał dożywocie. Mianowicie był wywieziony do Niemiec i tam siostrę miał. Po przegranej wojnie jakiś czas przebywał w Niemczech, w jednym obozie z siostrą swoją, która tam znalazła narzeczonego czy mężczyznę. I jak szykował się on do transportu, to siostra z tym swoim, powiedzmy, swoją sympatią, podeszła do niego i mówi do tego właśnie mojego znajomego, czy by nie zabrał pakunku, jakiejś walizeczki i doręczył pod adresem w Bydgoszczy. To on się zgodził, od siostry to dostał. To się zgodził temu komu przekazać, bo to nieraz były jakieś, powiedzmy, żywność/nie żywność, takie historie albo coś z odzieży może. To wszystko się przyjmowało, jak ja przyjechałem, to tam byle jakieś takie ciastka tam jak były, to dobrze, że przywiózł tak. On to przywiózł i oddał. I w pewnym momencie go aresztowano. Jak go aresztowano, to mów i mów, co w tej walizeczce przywiozłeś. Chłopu z nóg, z rąk paznokcie zdzierano, a on nie wiedział nic. Przynajmniej tak mówił. I dostał dożywocie. Co on wycierpiał, pokazywał mi, jeszcze nie odrosły mu paznokcie dobrze. Był szczęśliwy, żeby teraz jakoś go trochę szybciej do domu puścili. No może i puścili, ale te 15 lat to on chyba tam coś koło tego przesiedział, bo chyba mu nie ufali. Więc takie ofiary też były.

Tomasz Sudół: Jeszcze się zapytam, a jak wyglądali... Jak oni wyglądali, czy...

Mieczysław Chojnacki: Dzień, dzień, tak?

Tomasz Sudół: Tak.

Mieczysław Chojnacki: Więc to była ta pobudka, bo odszedłem od tematu. Pobudka, zbieraliśmy się, myliśmy się w miskach, był kran na wodę. W takich dużych misach się myliśmy. Ludzi ubywało. Był taki okres, że było nas około 40. I to jak mnie zabierali, tak było. Więc było dużo mniej i to szybko się uprzątneło. Role sprzątających pełnili Niemcy. Było ich tam kilku. Nawet gestapowiec jeden tam się włączył, bo to jak była wypiska i coś, to im tam każdy, coś zbierali i oni z tego żyli, co zapracowali, jak tam byli służącymi u Polaków, bo inaczej to by mieli suchy chleb. Więc po tym umyciu się od razu już było słychać, że wnoszą kotły. Co dawali? Dawali taką kawę wodnistą, chyba jakąś zbożową, bardzo taką rzadką kawę i to ledwo zabarwioną, gorzką. Kto miał cukier, to sobie słodził, kto nie miał, to nie. I dawali porcję chleba, to miało ważyć 60 deko, ale to był bardzo niedobry, taki zakalec, można powiedzieć, sam. To się na raz te 60 deko zjadło, tam ktoś zostawił może sobie kromkę, to miał, bo podobna była kolacja. Taka kawa i cześć, i już chleba nie było, więc jak kto zostawił sobie taką kromkę, to zjadł na kolację, nie, to nie. A jeśli kupił chleba i tak mu nie starczyło, bo mu mały bocheneczek wolno było kupić. I tam cebula, tam coś, nawet raz to sprzedali ceres. To było coś takiego jak stearyna, do posmarowania to się nie nadawało wcale. To takie było śniadanie i kolacja. A na obiad to dawali tak, chyba ze dwa razy tygodniowo na Mokotowie, bo to były różne kuchnie, ale one podobne były. Na Mokotowie było czyste jedzenie, a w Rawiczu to niech ich diabli wezmą. Dawali, to danie nazywało się, że będą morele na rzadko albo morele na gęsto. To była brukiew. To były morele. I to było niesłone. I łyżkę tego wpakowali, tej brukwi, „Masz, zryj”. Trzeba było zjeść, bo co będę jadł, kolegę będę objadał czy co, ze skóry? Więc to były te „morele”. Potem była kasza plujka. To była tak źle oczyszczona kasza gryczana i pokraszona takim, ja wiem, czymś tam pokraszona, ale to nie smakowało jakoś. Nie dało się tak jeść. Trzeba było to zjeść. Potem było coś, niby grochówka, ale to tak ziarno gonilo ziarno i wie pan... a jak było święto, powiedzmy, takie państwowe, to dawali tam troszeczkę gęściejsze, tam można było trochę ziemniaków znaleźć, w kapuście tam, w kapuśniaku czy coś takiego. Kapuśniak bywał często. Nieraz to dosyć gęsty, bo tej kapusty tam... a kwaśne było, że nie wiem. Żołądek aż rozpierało. Bo w Rawiczu to jeszcze był dodatek do tego, bo to takie robaczki były, takie glizdy centymetrowe, białe z czarnymi łebkami, to tam nieraz do tej kapusty takie jak spirytus, to niejedni to wybierali, to tam było kilka albo kilkanaście. To było takie pożywienie w Rawiczu. Jeszcze jeden z Rawicza taki obrazek, mianowicie kotły przynosili z kuchni, to nie były niektóre nakryte. I kawki siadały tam na tych kotłach. To byłem świadkiem, jak jedna tam upuściła coś z pod ogona, to oddziałowy jak zobaczył, że porządkowy ten... pośmieciuch taki, wziął taką warząchwę i wylał, to go zrugął za to, bo to trzeba było zamieszać, było okraszone, więc takie obrazki też były. Tak traktowali „bandytów”. To był taki dzień. I on z takiego pożywienia się składał. Tam takie były różne rozmaitości, to wymieniałem, bo nic nie było. Kaszy jęczmiennej to sobie nie przypominam, żeby na Mokotowie dali. To było dosyć jałowe. Trochę ludzie się ratowali, jak ktoś pieniądze przysłał i tam sobie coś dokupił. A tak to nie. Był taki incydent też jeszcze, jak spowodowali go winowcy. Bo ktoś im w paczce przysłał, jeszcze jak wolno było paczki przysyłać, rodzynki się jakoś im dostały. I oni te rodzynki tak zakisili w jakiejś tam butli, to byli starzy więźniowie, że sobie wino zrobili. Ale była rewizja i im to znaleźli. Im to znaleźli. Oni się przyznali do tego, ale cała sala miała przez miesiąc wstrzymaną korespondencję, więc czasem takie numery też były. To takie weselsze też było, ale niektórzy to sobie narzekali. Siedział też tam, w tej celi śmierci, Belg, młody Belg, z pięć lat ode mnie młodszy. 21-22 lata może miał. Nazywał się Louis Tievre Jak się pisze, nie wiem, bo francuskiego się nie uczyłem, tylko niemieckiego. I ten fajny chłopak był, tam

on ciągle siedział przy wilniukach albo ciągle siedział przy tych winowcach, bo oni opowiadali o partyzantce. Między sobą tam. Szczególnie „Szczerbic”, to znaczy Fróg, Lazarowicz, on się przysiadł do nich, był lubiany i słuchał. I tak sobie myślał, mówi: „Żeby u nas w Belgii tak było”, ale u nas tak nie było. I po polsku mówił śmiesznie dosyć. Tam go niektórzy przedrzeźniali, bo Polacy to mają taką skłonność trochę przedrzeźniania. Gdzieś tam mu kazali powiedzieć „chrząszcz brzmi w trzcinie”, to on się zapluł, zasmarkał, a nie mógł tego wymówić. Nie mógł tego wymówić. On był nastawiony na Kowary koło Karpacza. Tam wydobywali Rosjanie i pilnowali rudę uranową. I on im wykradł próbkę, dostał się tam, bo był przyjęty jako... się legitymował „Buczyński”. Tam była taka Polonia w Belgii i któryś go pod wpływem rządu belgijskiego przyjął i naturalizował. Troszkę on się nauczył śmiesznie po polsku mówić, i go przysłali tu. Przysłali go i on wziął tę próbkę, oddał w odpowiednie miejsce i mu mówią ci, którzy nad nim mieli pieczę: „Zjeżdżaj teraz, bo inaczej to może być źle z tobą, bo już tam nie pracujesz, więc będą ciebie szukać.”, chociażby z tego względu. Ale on się zakochał w jakiejś Maryśce, jak poczekał, to się dostał w łapy. Tak że dobre jest to powiedzonko, że wrogiem partyzanta to jest przede wszystkim rodzina, bo po rodzinie, jak cwani są, to dojdą, potem wódka, alkohol, bo jednego takiego mojego kolegę, który sam dwa razy posterunek jeden w Baboszewie rozbroił i poszedł sobie z bronią, tam było trzech czy czterech, to zabrał to na siebie, jak wielbłąd, bo oszukał ich, że posterunek jest obstawiony i nie mają nic do roboty, a oni uwierzyli w to. Nazywał się Gajda Władek. I jego wódka zgubiła. Poszedł do Koziebród na odpust i się upił. Taki był, że nie był zdolny uciec, jak mu nawet ludzie pomagali. Zabrali go na milicję do Koziebród i tam go znaleźli, powiesił się albo sam, albo jego powiesili. A po trzecie dziewczyna to trzeci wróg partyzanta. Bo też wielu potępiali właśnie u swoich dam.

Tomasz Sudół: A co się stało z tym Belgiem?

Mieczysław Chojnacki: A z tym Belgiem, to wywieźli go z tym transportem, co i mnie, do Rawicza i tam go straciliśmy z oczu. Potem jak tak się dowiadaliśmy, w łaźni coś tak, to nikt go nie spotkał. Prawdopodobnie go wymienili na jakiegoś bolszewickiego szpiega.

Tomasz Sudół: A jeszcze się chciałem zapytać, jak wyglądali więźniowie, czy na przykład po Cieplińskim, czy po „łupaszce” było widać, że oni byli torturowani, czy oni...

Mieczysław Chojnacki: Nie. Mówiłem, że oni byli bardzo spokojni. Jedna taka przykra scena, to była z „Chmielem”.

Tomasz Sudół: Ale nie, czy fizycznie było widać, że oni na przykład byli męczeni w śledztwie...

Mieczysław Chojnacki: A, czy oni mieli. Więc „łupaszko” jak przyszedł, to był nowy rok gdzieś tak, to był tylko 40 dni, jak go potem zabrali. To jak przyszedł... jego trzymali przez trzy miesiące chyba w karcu po sprawie. I to, co nas... go wpuścili do celi śmierci, to on wszedł jakoś tak, podpierając się, tam podeszli do niego, prowadzili go pod ręce, coś takiego i miał zezwolenie leżeć na ławie, bo przy tych stołach długich były ławy odpowiedniej długości i tam mu podkładali koce, i on tak leżał przez parę dni, ale doszedł do siebie i potem też troszeczkę chodził w kieracie. A kierat to się chodziło po dwóch albo pojedynczo i tak wkoło tej celi, tak powolnym tym, to tak mogło nawet 12-14 się przechadzać w kółko, w kółko, w kółko, potem robili w tył zwrot i znów w kółko, w kółko. Dobrze było we dwóch, bo się można było we czterech minąć. Jedni w tę stronę, w kieracie. To się nazywało, ten spacer, w kieracie. Chociaż

dawali nam też takie piętnasto- czy ile minutowe spacery, tam na spacerniaku. Ale to wtedy pewno jak nas utaskawili, byłem na innej celi, było chyba nas na wyroku śmierci to tylko prowadzili do łaźni. A tak sobie nie przypominam, żeby nas prowadzili na spacerniak.

Tomasz Sudół: A jak często do łaźni was prowadzili?

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Jak często do łaźni prowadzili?

Mieczysław Chojnacki: To było chyba raz na dziesięć dni, wymiana tam bielizny była.

Tomasz Sudół: A jak na przykład było z jakąś łaźnią czy coś takiego? Tylko to w celi?

Mieczysław Chojnacki: Tam był sedes i on służył tylu osobom, początkowo 80, a potem 30 kilku czy 40. I to tam było pod rygorem takim pewnym, że oczywiście, żeby gdzieś w okresie śniadania czy obiadu, czy tej tak zwanej kolacji, to żeby jakaś przerwa była. Do tego się ludzie stosowali, a jak tam coś zapachniało, to byli tacy dyżurni, to wołali: „Woda, woda”. To już trzeba było... na mnie też raz tak zawołali, to się denerwowałem szybko. Nieraz tak jakoś człowieka tam coś dopadnie i...

Tomasz Sudół: A jak długo pan był w tej celi?

Mieczysław Chojnacki: To byłem od Bożego Narodzenia, od Wigilii, byłem, jak wyprowadzali Fróga. Prawdopodobnie to było w czerwcu.

Tomasz Sudół: Czyli pół roku.

Mieczysław Chojnacki: Tak, pół roku.

Tomasz Sudół: W 1950 roku jeszcze.

Mieczysław Chojnacki: Tak. Gdzieś to mam zapisane, ale nie pamiętam nigdy tego dokładnie. To jeszcze byliśmy tam i potem, co był ten ksiądz taki, co mi to chciał porcję chleba dać, to tam był niezwykle ciekawy człowiek. On się nazywał Lechnicki Zbigniew. To był facet, który zakładał Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem przed wojną, gdzieś w latach 30., polityk. To byście, panowie, z jego wyglądu to nie dali mu 5 groszy, że nie wart jest coś. To był właściciel ziemski z Hrubieszowszczyzny, 2 tysiące hektarów ziemi pszenno-buraczanej i on był ministrem jakiś czas. On był ministrem jakiś czas, ale pensji nie brał. Zrzekł się pensji. Takich ludzi, to zdaje się, dzisiaj nie ma. Garną jak najwięcej. A był inwalidą. Chodził pochyłony, troszkę skrzywiony, ręce miał jakieś wypaczone, dłonie, nogi tak ukształtowane, że się mało nie przewracał o stopy. Mówił, że jego marzeniem to było zostać oficerem polskim, ale mówi: „Widzicie,

jaki ja jestem.”, bo tam on lubił rozmawiać. Zawsze nas trzech-czterech gromadził przy swoim stole i mówi: „Ja się nie boję. Mogę iść do karceru, a jak się ktoś nie boi, to niech mnie słucha”. Ja tam chodziłem z paroma takimi młodszymi partyzantami też i słuchałem tego, co on opowiadał. Bardzo ciekawe rzeczy opowiadał z okresu zajęcia Wilna. I on nie brał pieniędzy, i mówił, że to jego takie marzenie było zostać oficerem, i nie może zostać oficerem, mówi, bo jaki jest, to widzicie. To był bardzo, bardzo mądry człowiek. Bardzo mądry człowiek. On się przyjaźnił z Wańkowiczami. Bywali tam u nich w majątku. Potem był tego majątku pozbawiony. I miał tam wyrok taki dwucyfrowy. On był dosyć sobie hardy. Dosyć taki był hardy. Jak chcecie o nim posłuchać, to takie różne opowiadał dosyć ciekawe rzeczy z okresu zajęcia Wilna. Mianowicie takiego inspektora ze strony takiej rady nadzorczej, żeby Polacy nie przekroczyli pewnych norm, to był sygnał, żeby się Żeligowski ze swoją dywizją zbuntował i samowolnie zajął Wilno, bo do tego sobie rościli pretensje Litwini, a Japończyk był takim inspektorem nadzoru i on tę komisję polską, w której był właśnie ten mój pan Lechnicki, pan Zdzisław Lechnicki. Jak jechał ich samochód, to ten Japończyk mówił po angielsku: „Jakoś się długo nie psuje.”, bo tam coś było... godziny, jak do tej pory Polacy zajmą Wilno, to w porządku, jak nie, to nie. Oni często robili przerwy, tam gdzieś była jakaś, powiedzmy, kawiarnia, to zatrzymywali się, wypili troszkę, porozmawiali. „To co, jedziemy? Czy jeszcze porozmawiamy...” i tak. Schodził im ten czas, żeby przyszła wiadomość, że już Wilno zajęte. Więc ta historia z tym Japończykiem taka zabawna. A oni grali na to, że tu rośnie siła antysowiecka, a Japończycy do dziś dnia nie bardzo jakoś lubią Rosjan. To tacy potencjalni nasi sojusznicy, powiedzmy. Tam są nieuregulowane sprawy terytorialne i tak dalej. Tak że jak się dowiedzieli, że Wilno jest zajęte przez kawalerię polską, to potem przyspieszyli jazdę, żeby zobaczyć, jak to Wilno zajęte przez Polaków wygląda. Tak że ten Japończyk to był bardzo równy facet, to był pułkownik jakiś japoński.

Tomasz Sudół: Najpierw był pan przez pół roku w celi śmierci na Mokotowie, tak?

Mieczysław Chojnacki: Przez pół roku nie byłem. No tak. Tak, powiedzmy. Przez miesiąc jeszcze byłem w... To nie wiem czy czerwiec, czy lipiec, jak mnie wywieźli. W każdym razie jeszcze w takiej przejściowej celi do wywózki byliśmy. Tam było 100 chłopca, bo to taka teraz jest tam kaplica sporządzona. Ładna kaplica. W tej celi.

Tomasz Sudół: A jak wyglądał...

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: A dalej?

Mieczysław Chojnacki: I stamtąd od razu do Rawicza nas przywieźli. Do Rawicza nas przywieźli i tam potrzymani zawsze na takiej kwarantannie. To można mówić, tak?

Tomasz Sudół: Tak, tak.

Mieczysław Chojnacki: Potrzymani na takiej kwarantannie, ja wiem, może z miesiąc czasu. I ja tam podpadłem takiemu ubekowi więziennemu. Mianowicie więźniowie nie chcieli być tak zwanym „starszym celi”. Jak było pięciu

czy trzech, czy ilu tam, jak dwóch nawet, ale dwóch nie, trzech albo sam, to musiał któryś być starszym celi, jak się uchylili drzwi i stanął oddziałowy, to mówił: „Cela taka i taka, stan taki i taki, wszyscy obecni”. Albo „jeden wyszedł na widzenie”, albo coś takiego. Taki meldunek. I zabrali od nas takiego celowego, który odszedł, był starszym więźniem, zabrali go. I tak się jakoś stało, że na dziesięciu mniej więcej ludzi, co tam było w tej celi, ja byłem na czele, a inni się ustawili z tyłu, tak jakoś się stało. I taki Utrata tam był, porucznik czy podporucznik, nie wiem, ubek więzienny. I mówi: „A wy, co?”. „No nic”. „Dlaczego nie meldujecie?” „Bo nie jestem celowym. Celowego zabrali i jeszcze nie zdążyliśmy wybrać celowego”. „A jaki mieliście wyrok?”. To ja powiedziałem, jaki. Jaki teraz tam mamy, jaki miałem, to spytał: „A, tak, to ja ciebie taki synu zgnoję”. I poszedł. Zamknął drzwi. Za chwilę drzwi się otworzyły i mnie zabrali. Zabrali mnie i wsadzili, takie było przywitanie, wsadzili do ciemnej celi, takiej bez okien, taka ciemnica. Tylko był w murze taki otwór zrobiony, gdzie żaróweczka się świeciła. I tam, jak mnie wprowadzali, to zaświecili i zauważyłem w kącie taki fajansowy, bym powiedział, kibel, takie sanitarne to, przykryte drewnianym dekle. On tam był pod spodem okuty blachą. To sobie myślę tak: I było łożo, ale łożo było betonowe. I przy ścianie tak podciekało. To było jeszcze w ciągu dnia, tak że może już nawet i po obiedzie tym więziennym. W każdym razie, że niedługo potem był apel i przyszedł oddziałowy, i kazał mi się rozebrać, światło się świeciło. Zostałem tylko w bieliźnie i w drewniakach. A to kazał wystawić, bo się wystawiało, tak czy inaczej. Ale zgasił światło i cześć. I tam nie było okrycia, tylko mogłem się w tej bieliźnie, tej koszuli takiej lnianej położyć na tym łożu. To ja sobie pomyślałem: „Nie, na razie to mam siły. Nie będę się kładł na tym łożu, tylko będę siedział na tym kiblu, na tym drewnie”. Ale musiałem mieć uszy takie, bo oni też nie byli głupi, tylko się skradali, patrzyli, gdzie się leży, jak się nie leży, to mogli wody nalać, a do wody mogli i wapna dosypać. To trzeba było jakoś tak chytrze siedzieć, żeby w porę się na tym położyć. I tak to trwało. Przebyłem tam cztery doby. Cztery doby i przyszedł taki znany Kukawka, o którym chodziły takie więzienne dowcipy, bo to był taki... z Chłopska taki mędek, z tamtych okolic. Znany szeroko. On o sobie mówił: „Ty nie wiesz, z kim masz do czynienia. O mnie to BBC mówi nawet”. Więc jak i o nim mówiło nawet BBC, to już dobry był. To on jest odpowiedzialny za śmierć Kazimierza Pużaka, którego zepchnął ze schodów metalowych z pierwszego piętra i tam ten biedak, już przeszło w wieku jakimś emerytalnym, uderzył głową gdzieś w metalowe schody albo coś takiego i po paru dniach zmarł. Tak że ten Kukawka to taka... na przykład o nim dowcipy chodziły, że jeden się więzień go niby pyta: „Jaka to jest, panie komendancie, różnica, bo ja nie rozumiem, między wyrokiem dożywocia, a bezterminowym?”. A on odpowiada: „O, chłopie...”. Miał takie powiedzonko. „A jak poznasz z daleka bociana albo bocianicę, jak nie podejdziesz bliżej i nie zajrzysz, gdzie trzeba. W ten sposób możesz tylko rozróżnić. Tak samo i tego też nie rozróżnisz, jak nie znasz prawa”. I takie było wytłumaczenie. Wyżywienie tam było paskudne. Bo już o tych robakach nie będę wspominał, bo już mówiłem. To jedni wyciągali, a drudzy... A, było, nie było, zamknął oczy i zjadał wszystko. Więc kapuśniak był w swoim czasie tam chyba cztery, pięć razy tygodniowo i taki był paskudny, a do tego taki zleżały, że dosłownie... ja już lubię kwasy naturalne, rozmaite, bardzo lubię, ale... O, i ten barszcz właśnie, taki kwaskowaty, bardzo dobry. Ale tam to nie mogłem znieść. I wszyscy chodzili tak wypełnieni powietrzem. Wiadomo, to trzeba było podchodzić do okna co jakiś czas i to powietrze jakoś wypuścić, nie. To było paskudztwo. Można było się w końcu i na żółtek rozchorować. Tak cztery, pięć razy w tygodniu ten kapuśniak albo marchew suszona od czasu do czasu i to też z takim mięsem jak kapuśniak.

Tomasz Sudół: A jaki był rygor w więzieniu?

Mieczysław Chojnacki: Był rygor. Mianowicie już nie było tak, jak dawniej. To znaczy było cośkolwiek lżej. Trze-

ba było się ustawiać w końcu celi, bo jednej nie powiedziałem rzeczy. Tam było dużo przedwojennych pojedynków. Pojedynka miała 5 metrów i 5 setnych metra kwadratowego. 5,05 metra kwadratowego. Czyli... Tu nie uderzę kogoś, o tak była szeroka i mniej więcej cztery metry długa. I tam siedziało nas pięciu, sześciu, a łóżko było jedno, podpinane do ściany, czyli przed wojną była to cela pojedyncza, karna. A cela pojedyncza to była o powierzchni około dziesięciu metrów, ale już nie karna, to tam siedziało 10-11 chłopaków. Na Mokotowie słyszałem, jak mówił uwięziony jeden z komendantów, może ostatni komendant przedwrześniowy, naczelnik więzienia. Mówił, że tam było opanowane, to znaczy, siedziało przeciętnie od 780 do 930 więźniów. A nas tam w tych blokach było 4 tysiące, czyli cztery, pięć razy więcej. I tak było, bo w takiej celi pojedynczej karnej było nas pięciu przeważnie, a czasem i sześciu. Więc ci tacy bardziej rozrośnięci to głowami byli w stronę drzwi i o dwie stopy czy o stopę był kibel. Wiecie, co to jest, takie żelazne naczynie, żeliwne, z takim rowkiem wody i taką pokrywą metalową. Pokrywą metalową jak by przyłał, to by chyba zabił człowieka. Dostyc ciężka była. I proszę panów... a trzech szczuplejszych przy okienku, tak nad głową mieli okienko, co się nie zamykało jego nawet w zimę, bo i tak było wystarczająco tyle ciepła, ale powietrza nie brakowało. I tych trzech skromniejszych było przy oknie, a dwóch takich troszeczkę większych wewnątrz głowami do drzwi wyjściowych. Trzeba było w nocy nieraz wstać i tam wiadomo, co załatwić. Trzeba było uważać, żeby jakoś nie nastąpić koledze na ucho. To było ciasno. Jak się przewracało tych trzech szczuplejszych, to tak trzeba było jakoś manewrować, żeby się przekręcić na drugi bok, bo spaliśmy na betonie, na takich siennikach też dostyc już zleżałych jakiś czas, bo chyba po dwóch latach to nam dopiero słomę wymieniono na nową. Więc tak się nocowało tam. Na sygnał była pobudka, otwierali celę, trzeba było wystawić to naczynie sanitarne i trzeba było wystawić garneczek taki trzylitrowy, gliniany, na wodę. I w tym trzeba było się umyć. To był garnuszek taki wody, półlitrowy, niepełny, to był do umycia się rąk i twarzy. Bo trzeba było jeszcze zostawić coś do umycia naczynia po tej kawie, tam chociaż odrobinę wody, żeby troszkę wytrzeć. To powiedzmy, śniadanie. Śniadanie dali, jak otworzyli drzwi, zabierało się te ubrania i pościel, i drewniaki, wynosiło się do celi, bo to było w kostkę złożone i po chwili już szli z tym śniadaniem, z tą kawą i chlebem. Więc tam można było kupić. Cebulę można było kupić, pół kilograma czy tam ile, cukru tam pół kilograma na miesiąc. Chleba białego to nie zawsze, tam można było taki bocheneczek nieduży kupić. Takie rzeczy tam, latem to jakieś liche jabłka można było kupić czasem. Tłuszcz jakiś, ale to przy... Masła nigdy nie było, tylko była margaryna, a czasem ten stearynowy taki ceres. To do smażenia się nadawało, ale do smarowania to nie. To było takie, że można tylko cośkolwiek było to skroić i zjeść takie płatki z chlebem. To żadnych takich jakichś tam nie było dżemów/nie dżemów, to tego to się nie widziało. Tego się nie widziało. Najważniejsza to była cebula, bo przynajmniej zęby nie wylatywały. A na obiad to już mówiłem, co w Rawiczu było. Suszona marchew, suszona tego... W święto jakieś to była taka niby grochówka, ale to też nieraz była nieczyszczona z tych wołków, bo w grochu są takie czarne żuczki i to mógł tak się trafić tam taki gość, to trzeba było wyrzucić, taki robaczek był, nieduży, paromilimetrowy, czarny zupełnie. Nikt nie przebierał, kto to miał przebierać. Potem we Wronkach to tam kiedyś dawali więźniom, już po tej takiej odwilży trochę, jak Stalin zmarł, to przebierano ten groch i wyrzucano te żuczki. Co tam jeszcze... Na obiad to tak było, na kolację to tylko była ta właśnie kawa dawana. Co tam było za umeblowanie jeszcze... Prócz tej podpinanej na ścianę pryczy, takiego łóża, była deska i metalowa reszta była. To mówili, że kiedyś to były tam pluskwy ogromne. Ja sobie nie przypominam, żeby one tak dokuczały, ale one tam chyba były i je tam tłukliśmy, w Rawiczu chyba to potem było troszkę gazowane i jakoś tam doszło do takiego możliwego porządku. Tak że wyżywienie takie było. A oprócz tego to od czasu do czasu dawali list, od czasu do czasu wołali na spowiedź, do tego politruka, co mnie tam trzymał cztery doby wtedy. I po czterech dniach mi tam puścił ten właśnie Kukawka, taki łobuz wiejski. Na taką spowiedź właśnie

do tego. Kiedyś była taka inspekcja. Później się dowiedziałem od kolegi z Sierpca, o nazwisku Janusz Gadomski, już nie żyje, że spotkał znajomego. Mianowicie przyjechała taka komisja, jak to więźniom się powodzi. „Czy macie co czytać?” „A tak, mamy”. „A co czytacie?” „A, hodowla kur”. Albo hodowla świń, albo tam jeszcze hodowla czegoś. I to takie były broszurki, i to trzymali kwartał, i potem jak w tej celi było, to przerzucali to, i taka była wymiana w tych najgorszych takich czasach. To wiadomo, jest co czytać, jest. To się na pamięć uczyło. Miałem takiego kolegę z Gór Świętokrzyskich, to się uczyliśmy „40 pokoleń” czy ilu tam, tych od Mojżesza i w górę, i tam się niewiele myliliśmy. Tam był taki egzaminator, miał jakąś książkę, te „40 pokoleń” czy ileś pokoleń, na pamięć się uczyliśmy. To potem ja się nauczyłem dobrze i on także. Ja się nauczyłem jego rodziny. Tak ze 20 osób, i tej dalszej, i tej bliższej. A on znów odwrotnie, mojej. Te takie egzaminy się odbywały tam w Rawiczu. To byli tam uwięzieni ze mną początkowo, taki Okoniewski Michał, to kapral podchorąży z AK był, może ze trzy lata starszy ode mnie i on był partyzantem w grupie „Robota”. „Robota”, takiego zrzutka spadochronowego, a w zgrupowaniu „Szarego”. Jak tam w Końskich, pochodził z takiej miejscowości Końskie, jak była wpadka, to z nim. Potem siedziałem z takim Stefanem Glempem z powiatu Kolno, w łomżyńskim. To bardzo nie lubił, jak się mówiło, że tam są Kurpie, bo „kurpie” my to nazywali ten chodak taki z łyka lipowego. „Ty jesteś Kurpiem”, to on tak krzywo patrzył, to tak ty na mnie nie mów, bo to taki chodak jest tam, a to była biedna ludność, to jak zobaczył lipę, to się do niej śmiał, bo wszedł boso, a zszedł już obuty i jeszcze miał chyba ze trzy pary na zapas. Więc takie były historie. Jak kto siedział z górale, to musiał uważać na słowo „buc”. Bo buc to wiadomo co, a jak ktoś nie wiedział, to jak powiedział na niego „ty bucu” w złości, to mógł dostać w łeb tak po góralsku, że by się opamiętał. To może lepiej nie mówić. Takie były historie. Tam wiecie, że trzeba wykreślić to i tyle.